

Luanne  
Rice

CYTRYNOWY  
SAD



Luanne Rice



# CYTRYNOWY SAD

Przełożyła Alicja Laskowska

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Lemon Orchard*

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Paulina Rynkiewicz

Korekta: Adrian Kyc

Projekt okładki: Krzysztof Kibart

Zdjęcie na okładce: 371819 (depositphotos.com)

Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2013 by Luanne Rice

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiecte,

an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Alicja Laskowska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2016

ISBN 978-83-65506-30-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



WYDAWNICTWO  
**KOBIECIE**

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiecte

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

*Dla Armando*

## Podziękowania

---

Przede wszystkim pragnę podziękować Armandowi, Armandowi seniorowi, Delfinie, Brandonowi, Antoniowi, Elizie oraz Melanie.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec mojej agentki, Andrei Cirillo, oraz całej ekipy Agencji Jane Rotrosen: Jane Berkey, Dona Cleary'ego, Meg Ruley, Annelise Robey, Christiny Hogrebe, Peggy Gordijn, Christiny Prestii, Carlie Webber, Danielle Sickles, Rebeki Scherer, Donalda W. Cleary'ego, Brooke Fox, Ellen Tischler oraz Liz Van Buren.

Dziękuję wszystkim z Pamela Dorman Books/Viking and Penguin, a zwłaszcza Pam Dorman, Kiki Koroshetz, Clare Ferraro, Kathryn Court, Julie Miesionczek, Dickowi Heffernanowi, Normanowi Lidofsky'emu oraz tamtejszym agentom handlowym – Lindsay Prevette, Carolyn Coleburn, Nancy Sheppard, Andrew Duncanowi, Patrickowi Nolanowi, Johnowi Faganowi, Maureen Donnelly, Halowi Fessendenowi, Leighowi Butlerowi, Roseanne Serra oraz Jeannette Williams.

Ogromne wyrazy wdzięczności należą się Deborah Dwyer, która zredagowała już niejedną powieść mojego autorstwa. Dziękuję Jermainowi Rengifowi za sprawdzanie i poprawianie mojego hiszpańskiego. Veronique de Turenne to wspańska pisarka oraz cudowna przyjaciółka. Jej blog, *Here in (the) Malibu*, pomógł mi zaznajomić się z historią, przyrodą oraz sekretnymi miejscami w Malibu.

Dziękuję też Ashy Randall za niekończące się pokłady życzliwości oraz za to, że pokazała mi Adamson House.

Serdeczne dzięki dla Bernarda Wolfsdorfa za jego dogłębną znajomość prawa imigracyjnego oraz gotowość do dzielenia się wiedzą w tym temacie.

Na wyrazy wdzięczności zasługują również: Jim Weikart, Tim Donnelly, Jay Tsao, Ted O’Gorman, Injae Choe, Lauren Gardner, Elvira de Leon, Delsy Hermosa, Oscar Castillo oraz Nick Chambers.

Pozostaję pod niezmiernym wrażeniem genialnej książki Luisa Alberto Urrea *The Devil’s Highway*. Lektura tej pozycji zmieniła sposób, w jaki patrzę na świat – jestem przekonana, że pozostanie jedną z najważniejszych i najbardziej inspirujących książek, które miałam okazję przeczytać. Luis otworzył mi oczy na blaski i cienie życia wzdłuż granicy i już zawsze będę mu za to wdzięczna.

Pragnę również podziękować Maureen, Oliverowi oraz Mii Onorato; Molly, Alexowi i Willowi Feinsteinom; Robertowi oraz Audrey Loggia, a także Williamowi Twiggowi Crawfordowi.

Na koniec chciałabym podziękować swojej rodzinie, składającej się z imigrantów po obu stronach – za ich wiarę, nadzieję, zmagania i miłość.

## Prolog

*Luty 2007*

Tak to sobie wyobrażam: jedenasta rano w mroźny i słoneczny lutowy dzień, ona za kierownicą, ręce ułożone na za dziesięć druga, bo jest grzeczną dziewczynką i tak chce jej tata, który siedzi obok z dużą czarną kawą z Kendall's w ręku, a ona uważa, żeby jej nie wylał i nie poparzył się. Kombi ma dwanaście lat i cuchnie psem; gdyby spojrzała teraz w lusterko wsteczne, zobaczyłaby miejsce, gdzie zwykliśmy zapinać jej pasy.

Bonnie Blue, nasza siedmioletnia suczka, najnowszy dodatek do długiej listy blue merle\* border collie, jedzie ze mną, bo wciąż jest hałaśliwa i lubi lizać z tylnego siedzenia uszy kierowcy, co – jak uznaliśmy z Peterem – mogłoby

---

\* *Blue merle* – oznacza dosłownie „niebieski marmurkowy” i odnosi się do umaszczenia sierści psów rasy border collie. Przedstawiciele tej rasy często mają też niebieskie oczy. Imię Bonnie Blue nawiązuje do tego koloru sierści.

rozpraszać Jenny. Znajdujemy się raptem parę kilometrów za nimi i mamy jeszcze jedną rzecz do załatwienia – odebrać tort czekoladowy z Piekarni Hoffmana, na którym Viola i Norma umieściły dekoracje w postaci słupków i linii pięćdziesięciu jardów, pamiętając, żeby każdą warstwę przełożyć konfiturą malinową, tak jak Jenny lubi najbardziej.

Moja córka, Jenny Hughes. Ma na sobie ten ogromny sweter w skandynawskie wzory, który wydziergała dla Timmy'ego z włóczki zawierającej kawałki rzepów i jeżyn prosto z owczej wełny. Lubiła nosić go w taki sposób, żeby zalotnie odkrywał jedno ramię. To właśnie była cała Jenny – założyła go już w dwa dni po tym, jak Timmy zwrócił prezent w ramach rozstania, razem z teleskopem i wysłuzonym egzemplarzem *The Stars* H.A. Reya.

Dzień jest chłodny, ale jasny, i choć zostało jeszcze sporo śniegu po zeszłotygodniowej zamieci, drogi nie są oblodzone. Jenny rozmyśla o imprezie. Żadna z nas nie interesuje się sportem, ale Peter grał w futbol amerykański na uniwerku i co roku pozwalamy sobie zaszaleć z okazji Super Bowl. Jenny kocha gotować, a dziś planujemy przyrządzić razem chili, skrzydełka Buffalo i guacamole. W zeszłym roku wpadł do nas Timmy i młodzi tulili się na sofie, szeptając sobie do ucha i śmiejąc się, otoczeni przez Petera i naszych znajomych. Nie przypominam sobie, żebym obejrzała choć jedną pełną minutę programu – byłam zbyt zaabsorbowana widokiem mojej zakochanej córki.

Jenny skończyła szesnaście lat w listopadzie, dopiero co zdała prawo jazdy i podchodzi do prowadzenia auta bardzo odpowiedzialnie, jak do wszystkiego. Same piątki

w poprzednim semestrze, talent do gry na skrzypcach, błękitna wstęga w zeszłorocznych zawodach jeździeckich; uwielbia opiekować się naszymi zwierzakami i ma w sobie tak wiele życzliwości – i czystej determinacji, by dostać się na Uniwersytet Browna, jak jej rodzice. Zastanawiam się, czy wybierając to miejsce, próbuje w jakiś sposób zbliżyć Petera i mnie do siebie, przypomnieć nam, gdzie się poznaliśmy, i wiem, że żałuje, że wyszła dziś wściekła z domu, wyzywając mnie od hipokrytek, bo zapraszam ludzi i podejmuję rodzinę właśnie wtedy, kiedy Peter planuje się wyprowadzić. Mamy teraz w domu ciocię i wujka z Californii. Zawitali do Connecticut, bo on jest profesorem i przyjechał na wykłady gościnne do Yale, gdzie uczę antropologii kulturowej jako wykładowca kontraktowy. Jenny obawia się, że wujostwo wyczuło napiętą atmosferę i niesłusznie osądza Petera.

I tak jedzie do domu wzdłuż Shore Road, mijają brązowe, połyskujące w słońcu moczary, zmrożone potoki – czysta biel w blasku dnia. Jej ojciec jest tuż obok, sączy kawę i rozwodzi się na temat tego, jak jego córka dobrze prowadzi tego ranka, jak trzyma łokcie przy sobie i pięty na podłodze, jak ładnie omija wszelkie nierówności na drodze.

Odkąd tylko pamiętam, Petera i Jenny łączyła niezwykła więź. Gdy była niemowlakiem i budziła się w nocy, zanosząc się płaczem, uspokajała się tylko wtedy, gdy to właśnie on ją kołysał. Tulił ją mocno i nucił wymyślone przez siebie piosenki, przemierzając tam i z powrotem pokój dziecięcy, z którego widać było łąkę i ten jeden, samotny wiąz, sprawiający upiorne wrażenie w blasku księżyca.

I nawet kiedy Jenny miała dziesięć i jedenaście lat, a ja wreszcie wróciłam na studia zdobyć dyplom magistra, gdy

chodziłam na zajęcia w New Haven, uczyłam się i pisałam o antropologii ruchu, a stół w jadalni co wieczór zagracały moje książki i papiery – gdy Peter wracał z biura, razem z Jenny jedli kolację przed telewizorem w salonie, śmiejąc się głośno. Oboje uwielbiali komedie i bajki, zwłaszcza te francuskie – Asterix i Tintin byli przebojem w naszym domu.

A teraz Jenny jedzie do domu i do tej łąki migoczącej od zmrożonego śniegu. Droga jest prosta i pusta, żadnego ruchu w którymkolwiek kierunku, asfalt posypany piaskiem i nieoblodzony, gałęzie drzew splatają się nad ich głowami i rzucają poranne cienie, a jej wiąz – lubi myśleć, że należy do niej – mający już na horyzoncie. Shore Road skręca ostro w lewo, zakręt o dziewięćdziesiąt stopni, tuż obok miejsca, gdzie zaczyna się nasz podjazd.

Drogę okalają stare kamienne mury wzniesione przez pierwszych osadników Connecticut, którzy przybyli tu z Anglii koło 1600 roku – kolejny dowód migracji i życia w ciągłym ruchu oraz tego, jak historia świata w dużej mierze składa się z momentów, kiedy ludzie opuszczali jedno miejsce, by udać się gdzie indziej, w poszukiwaniu jedzenia, wolności wyznania, lepszego życia. Jak była mała, uwielbiała chodzić po tych murach do przystanku autobusowego i z powrotem. Czasami zostawiałyśmy sobie tam wiadomości w formie liścików, ukryte w szczelinie pokrytej mchem, którą nazywałyśmy naszą skrzynką pocztową. Jenny pamięta to nasze sekretne miejsce, ten dreszczyk podniecenia, kiedy znajdowała liścik, i ma na sobie sweter Timmy’ego – jego zapach nierozzerwalnie powiązany z uczuciem zakochania. I właśnie w tym momencie naciśka pedał gazu.

Słońce odbija się od śniegu, od żyłek jasnej miki i kwarcu wplecionych w granitowe mury, oślepiając Jenny na ułamek sekundy. Droga jest pusta, zna tę trasę, jest naprawdę dobrym kierowcą, tata jest przy niej, sam nauczył ją prowadzić samochód, nigdy by go nie skrzywdziła, nigdy nie skrzywdziłaby samej siebie, kocha swoją rodzinę, kocha swoje życie – nie miałyby więc ku temu żadnych powodów.

Dziesięć minut później razem z Bonnie docieramy w końcu na miejsce, załatwiwszy wszystkie sprawy. Mamy jeszcze parę godzin, zanim znajomi przyjdą oglądać mecz, a mnie bardzo zależy na tym, żeby spędzić trochę czasu z Jenny – poranek należał do jej taty, a teraz ja będę miała wczesne popołudnie, żeby zaopiekować się naszym dzieckiem i jej złamanym sercem, żeby tylko przy niej być, bo wiem, że słowa niczego nie zmienią – nie da się wytłumaczyć, że z czasem wszystko będzie okej, że któregoś dnia przestanie boleć.

Black Hall to małe miasteczko, więc człowiek wstrzymuje oddech, kiedy słyszy syreny, bo wie, że niezależnie od tego, co się stało, na pewno dotyczy to kogoś znajomego. Jadąc Shore Road, zwalniam, żeby przepuścić straż pożarną. Na tylnym siedzeniu Bonnie niespokojnie drepta tam i z powrotem. Mówię jej, żeby się uspokoiła, wszystko w porządku, zaraz będziemy w domu. Włączam kierunkowskaz, żeby zjechać z głównej drogi i skręcić w nasz podjazd, i nagle zauważam migające światła.

Są myśli zbyt przerażające, żeby dopuścić je do siebie. Widzę, jak lokalny posterunkowy nakazuje wszystkim pojazdom zawrócić, więc opuszczam szybę i tłumaczę mu, że mieszkam tu, zaraz obok – wciąż nie pozwalając sobie na

choćby przebłysk myśli, że ten wypadek może dotyczyć naszej rodziny. Ale Bonnie wie i szczerka, a gdy posterunkowy poznaje, kim jestem, i podchodzi do samochodu z wyrazem twarzy, którego żaden człowiek nie chce ujrzeć, moje serce zamiera. Bo on też wie.

Otwieram drzwi samochodu, a on próbuje zatarasować mi drogę, ale nie ma takiej siły na świecie, mogącej mnie zatrzymać. Jestem tuż za Bonnie, która biegiem mija rząd wozów należących do policji, straży pożarnej i służb ratunkowych. Słyszę, jak ktoś mówi: „Nie wcisnęła nawet hamulców, musiała jechać przynajmniej osiemdziesiąt na godzinę...”, na co ktoś inny odpowiada: „Cicho bądź, to jej matka”. Promienie słońca odbijają się od ośnieżonych pól i wód cieśniny Long Island, ale nie oslepiają mnie – widzę wszystko jasno i wyraźnie, a mój umysł rejestruje to, co znajduje się przed nami, i to, co ukryte przed naszym wzrokiem.

Ten widok nigdy nie przestanie mnie nawiedzać, nawet wtedy, kiedy będę pięć tysięcy kilometrów stąd. Odległość nie może się mierzyć z tym, co zobaczyłam. Z wbitym w mur, zgniecionym samochodem, z kłębamii czarnego dymu, z ratownikami niemającymi kogo ratować, rozstępującymi się przede mną. Z pajęczynami krwi pokrywającymi twarz mojej córki i mojego męża, leżących na ośnieżonej ziemi. Z Bonnie skamlającą cicho przy ich ciałach. I z ukochanym wiązem i jego nagimi gałęziami odznaczającymi się na tle błękitnego nieba – najpewniej ostatnim obrazem, jaki Jenny i Peter widzieli przed śmiercią.

## Rozdział 1

---

*Roberto*

*Wrzesień 2012*

Tuż przed świtem powietrze pachniało cytrynami. Roberto spędził noc w małej chatce znajdującej się na terenie sadu w Górach Santa Monica – słony wiatr znad Pacyfiku osładzał zapach gorzkich owoców i wypełniał jego sny wspomnieniami rodzinnego domu. Znów był w Meksyku – zanim przybył do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu dobrych warunków życia dla swojej rodziny – w innym *huerto de limones*. Sad aż tętnił od brzęczenia pszczół oraz głosów rozmawiających pracowników. Rosa bawiła się swoją ukochaną lalką Marią, która miała przezroczyste skrzydełka anioła. Babcia Roberto zwykła szeptać Rosie na ucho, że Maria posiada magiczne moce i potrafi latać.

Dziewczynka miała na sobie ulubioną sukienkę, białą w różowe kwiaty, uszytą przez jej prababcię. Roberto stał wysoko na drabinie – znacznie większej we śnie, niż

to możliwe w rzeczywistości. Mógł stąd zobaczyć krajobraz rozpościerający się ponad czubkami drzew, wodził więc wzrokiem wzdłuż doliny w kierunku Popocatepetl i Iztaccíhuatl – dwóch ośnieżonych wulkanicznych szczytów wznoszących się na zachodzie. Jego babcia opowiadała mu legendę, jakoby góry te były parą kochanków – wyglądały jak chłopak, który osłaniał dziewczynę. Wysoko na swojej drabinie Roberto czuł się najsilniejszym człowiekiem na świecie. Słyszał, jak jego córka rozmawia ze swoją lalką.

Zgodnie z magicznymi prawami, jakimi rządzą się sny, jego koszyk wypełniały dorodne cytryny. Ześlizgnął się z drabiny i wziął małą Rosę na ręce. Miała pięć lat, radosne, śmiejące się piwne oczy, a jej twarz otulały kaskady ciemnych loków. Zarzuciła swoje chudziutkie ramiona wokół jego szyi i schowała twarz w ramionach taty. We śnie Roberto był mądry i wiedział, że nie ma lepszego życia niż to, które właśnie wiecie, nie ma większego dobra niż to, co już posiada. Przytulił ją i obiecał, że nic złego jej nigdy nie spotka, i gdyby mógł trwać w wiecznym śnie, te słowa stałyby się prawdą. Sen przedłużał wizję. Jego oczy, mocno zamknięte, nie dopuszczały do siebie światła poranka, a zapach *limones* wznagał tylko halucynację, w której Rosa była przy nim, teraz i na zawsze.

Kiedy się obudził, nie marnował czasu na rozczulanie się nad wskrzeszonymi emocjami. Zniknęły równie prędko, jak się pojawiły. Jego dzień zaczął się szybko. Mieszkał czterdzieści kilometrów na wschód, w Boyle Heights, ale zostawał czasem na terenie sadu, kiedy było wyjątkowo dużo rzeczy do zrobienia albo w sezonie pożarów. Miał pod sobą trzech pracowników, a w razie potrzeby zatrudniał

również dodatkowych robotników ze Społecznego Ośrodka Zatrudnienia w Malibu lub z parkingu Home Depot\* w Woodland Hills. Zjawiali się na terenie sadu o ósmej rano.

Rodzina Rileyów mieszkała w ogromnym domu, utrzymanym w typowo hiszpańskim, kolonialnym stylu – z łukowymi oknami i czerwoną dachówką – nieco powyżej chatki Roberta, na grzbiecie wzgórza. Żyli na terenie Gór Santa Monica w zachodnim Malibu od połowy XX wieku. Podczas gdy inne rodziny posiadały zaniedbane, stare, mniej dochodowe sady i winnice, Rileyowie pozostawiali wierni rodzinnej tradycji uprawiania cytrusów. Roberto szanował ich poczucie lojalności wobec przodków i ziemi.

Gaj zajmował czterdzieści akrów, na każdym akrze rosło po sto dwudziestoletnich drzew, posadzonych w prostych liniach na południowym zboczu, w tych samych rowach, w których stały kiedyś starsze drzewa. Dwadzieścia lat temu wiatry Santa Ana roznieciły pożar, który strawił cały sad, oszczędzając Casa Riley, ale pochłaniając sąsiednie posiadłości po obu stronach wzgórza. Blisko domu i basenu wyłożonego ogromnymi płytami znajdowały się jeszcze wystające skały i trzystuletnie żywe dęby – z pniami o średnicy prawie dwóch i pół metra – które wciąż nosiły ślady tego potężnego pożaru. Ogień był czymś mistycznym i choć w kolejnych latach jeszcze nie raz nawiedził Malibu, posiadłość Rileyów pozostała nietknięta.

Obecnie od Pacyfiku wiała jedynie chłodna bryza, ale Roberto wiedział, że mogło się to w każdej chwili zmienić.

---

\* Home Depot – sklep z materiałami do budowy domu oraz wyposażeniem wnętrz; amerykański odpowiednik Obi lub Leroy Merlin.

Lato dobiegło końca, a to oznaczało, że niedługo zaczną wiać pustyńne wiatry – Santa Any ryczące w górskich przełęczach, nagrzewające się w trakcie swojej podróży z wyższych stref w stronę wybrzeża. Wystarczy najmniejsza iskra, choćby z elektronarzędzia, i cały kanion stanie w płomieniach. Od dwóch miesięcy nie spadła ani kropla deszczu. Roberto wszedł do stodoły, gdzie mieścił się panel kontrolny, i włączył zraszacz.

Woda trysnęła, łapiąc po drodze tęcze, podczas gdy słońce powoli wyzierało zza gór na wschodzie. Szumiała, miękko i bez końca, a w głowie Roberta formowała się wizja marnowanych pieniędzy. Woda była doprowadzona do sadu kanałem i nie należała do tanich udogodnień. Rileyowie powtarzali mu, że najważniejsza była dobra kondycja drzew i cytryn i ochrona ziemi przed pożarami.

Miał jednak jeszcze ważniejsze zadanie do wykonania, nim pojawią się jego współpracownicy – zabezpieczyć ścieżkę wzdłuż wybrzeża. Chwycił młot kowalski i przeciął zagajnik, kierując się w stronę klifu. Wysuszone przez lato zbocza biegły wzdłuż migotającego basenu i w dół, w stronę Pacyfiku. Turyści przechodzili czasem przez tereny należące do Rileyów, żeby dostać się do Trasy Backbone oraz innych ścieżek turystycznych rozsianych po paśmie górskim. Lata temu ktoś zadbał o słupki i łańcuch – prowizoryczny płot, który miał przypominać ludziom, że zbocze jest tu bardzo strome, a od podłoża kanionu dzieli ich ponad sto pięćdziesiąt metrów.

Sprawdził słupki i odkrył kilka luźniejszych. Lawiny błotne i trzęsienia sprawiały, że podłoże było niestabilne. Chciał, żeby nigdy się tutaj nie zapędzala, żeby wyprowadzała psa

na terenie sadu – tym sposobem mógłby mieć na nich oko. Albo żeby chociaż korzystała ze ścieżek wijących się z dala od oceanu. Ale ona kochała wielką wodę. Widział, jak spacerowała tą trasą w oba poranki od jej przyjazdu, przystawając, by nacieszyć oczy widokiem morza, podczas gdy pies buszował w gęstej dąbrowie i nadmorskiej szalwii.

Przyklepał pierwszy słupek, żeby wycelować, po czym wziął wielki zamach młotkiem. Metal uderzył o metal niczym w gong. Poczul siłę uderzenia w kościach nadgarstka i ramion. Słupek za słupkiem, wbijał je kilka centymetrów głębiej, do momentu, aż były solidnie osadzone. Wiatr wiał w kierunku domu. Miał nadzieję, że ten dźwięk nie będzie jej przeszkadzał, i domyślił się, że raczej nie powinien. Wstawała o brzasku, podobnie jak on.

Rileyowie wyjechali na parę miesięcy do Irlandii, zostawiając dom w rękach siostrzenicy. Przyjechała trzy dni temu – sama, za towarzysza mając jedynie psa z ciapkami w kolorze bieli, brązu i szarości i jednym okiem brązowym, a drugim niebieskim.

Była to kobieta niska i blada. Miała siwe włosy i niebieskie oczy. Zupełnie nie przypominała przedstawicielkę płci pięknej, które Roberto widywał w Kalifornii. Wszystkie tu wydawały się pełne szyku, prawie idealne, z piękną, brązową opalenizną i włosami pofarbowanymi na cudny odcień brązu lub jasny blond, z perfekcyjnym manikiurem i makijażem. Nigdy nie udało mu się uświadczyć pani Riley bez szminki na ustach. Ale siostrzenica była zupełnie inna.

Przedstawiła się od razu, jak przyjechała. Był właśnie w szopie, zmieniając ustawienia zraszaczy na cztery litry na godzinę na każde drzewo, kiedy weszła i bezceremonialnie

uścisnęła jego dłoń – nie bacząc na fakt, że była tłusta, a jego twarz nie należała do najczystszych.

– Roberto, jak mniemam? Jestem Julia Hughes, siostrzenica Gracieli i Johna. A to jest Bonnie.

– O, hej, Julia. Miło mi – odpowiedział zakłopotany, wycierając ręce o spodnie. Za późno. – Dotarłaś bezpiecznie na miejsce. Długa podróż?

– Tak, dziękuję. Na szczęście Bonnie jest zaprawionym podróżnikiem.

Ich wzrok spotkał się na sekundę czy dwie i, nie wiedzieć czemu, włoski na szyi Roberto stanęły dęba. Próbując odpędzić od siebie to krępujące uczucie, przykucnął, żeby pogłaskać Bonnie, i zatopił dłonie w jej aksamitnej szarej sierści. Suczka miała radosną, przyjacielską mordkę, ale przez te nietypowe oczy babcia Roberto z pewnością nazwałaby ją *perra bruja*: psem czarownicy. Błękitne oczy Julii przyprawiły go o jeszcze większy niepokój – kiedy spojrział w jej kierunku, poczuł się tak, jakby poraził go prąd. Jakby spojrział właśnie w lustro.

– No, dobrze, nie przeszkadzam już w pracy – odezwała się, wyczuwszy jego zmieszanie.

– Dzięki – odpowiedział. – Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Wyszła. Bonnie poprowadziła ją w stronę ścieżki przy klifie. Po pierwszym spotkaniu widział, jak wracała tamtędy ponownie. Nie mógł uratować wszystkich na tym świecie, ale mógł zrobić, co w jego mocy, aby trasa była dla niej bezpieczna.

Pracując nad słupkami, doszedł do wniosku, że będzie musiał wzmocnić przy pomocy betonu te, które są zbyt chybotliwe. Lekkim kopnięciem buta posłał kamyki

i grudki gliny prosto na dno kanionu. Chwycił garść zarośli ze zbocza i zablokował ścieżkę. Zwykł zostawiać ją w takim stanie – czasem nawet używał dodatkowo żółtej taśmy bezpieczeństwa – dopóki nie naprawił wszystkich niebezpiecznych elementów.

W drodze powrotnej do stodoły usłyszał nadjeżdżające ciężarówki i podniesione głosy. Przybyła ekipa do nawadniania i przycinania sadu, ale Roberto myślami był wciąż przy niebezpiecznych miejscach przybrzeżnej ścieżki. Były wszędzie. Niektóre niewielkie i zabezpieczone odpowiednimi znakami ostrzegającymi – krótkie odcinki kłifu wzdłuż trasy turystycznej, łatwe do naprawienia przy pomocy odpowiednich narzędzi i wiaderka cementu. Inne ciągnęły się całymi kilometrami, od jednego horyzontu po drugi, przez tereny, które przemierzało tysiące ludzi. Ci, którym dopisywało szczęście, uchodzili z życiem.

Najmłodszy z tych, którzy nie przeżyli, byli teraz aniołami. Nawiedzali szlak pielgrzymkowy – wyschnięte koryta strumieni i wąskie kaniony – wypełniając powietrze swoimi upiornymi lamentami. Niektórzy z nich zostali porwani przez La Lloronę, legendarną płaczkę, która kradła cudze dzieci, żeby wypełnić pustkę po stracie własnych. Opuszczona przez niebiosa za to, że utraciła swoje pociechy w wodach rzeki Santa Fe, błąkała się po kresach i porывała dzieci, których nikt nie pilnował w nocy.

– *Hola, como estas?* – spytał Serapio, parkując samochód w cieniu.

– *Bien, y tú?* – odpowiedział Roberto.

– *Bien.* Dziś znów pracujemy nad odprowadzaniem wody?

– Tak jest. Kontynuujcie z chłopakami tam, gdzie wczoraj skończyliśmy. Zaraz do was dołączę – stwierdził Roberto.

Serapio przytaknął, nie zadając żadnych pytań. Roberto mógł poprosić ekipę, żeby pomogła mu szybciej zakończyć wzmacnianie szlaku, ale podświadomie czuł, że to jego robota, jego obowiązek. Raz na jakiś czas doznawał wpływu inspiracji – czy to odpowiednie słowo? Pewnie nie. Uczucie to przypominało raczej ulgę, jaką niesie ze sobą zwolnienie z kary, szansa na to, by uczciwą pracą odkupić swoje grzechy. Nie był już nawet wierzący. Jego matka umarła w trakcie porodu, a babka wychowała go w duchu katolicyzmu. Wciąż nosił w kieszeni jej ręcznie wykonany różaniec z ciemnego drewna, choć to raczej z sentymentu i miłości niż z powodów religijnych.

Kiedy pojawiało się to uczucie – ulokowane gdzieś w jego trzewiach, a nie w głowie – zawsze był mu wierny. Chwytał worek zaprawy cementowej, napełnił pierwsze wiadro wodą i przewiesił spory zapas żółtej taśmy ostrzegawczej przez ramię. Pszczoły brzęczały w ciemnoróżowych bugenwillach, które porastały boki stodoły, a kiedy wracał w kierunku brzegu klifu, czuł, jak chłodna morska bryza muskała szalwzię i przybrzeżne zarośla. Przyjemnie koila jego rozgrzaną skórę, wywołując gęsią skórkę w porannym słońcu.

Pacyfik ciągnął się w nieskończoność, równie błękitny, co niebo, ale zdecydowanie nie tak głęboki. Wiatr smaگاł powierzchnię wody, tworząc niewielkie białe fale, które pędziły w stronę brzegu, aż w końcu roztrzaskiwały się u stóp klifu. Ich uderzenia były bezlitosne. Ten ciągły hałas sprawiał, że nie mógł spać po nocach, które spędzał na terenie sadu, i budził tęsknotę za jego własnym rolniczym

miastem u podnóża gór. Zanim przyjechał do Los Angeles, nigdy nie widział żadnego oceanu. Jeśli upadek z klifu by go nie zabił, zrobiłaby to dzika toń – nie potrafił pływać.

Po wyrobieniu cementu wypełnił nim dziury, które wykopał, i umieścił w nich słupki. Były wykonane z litego metalu, więc po tym, jak zostały porządnie osadzone w ziemi, tworzyły wytrzymały i efektywny łańcuch. To wszystko, co mógł zrobić, by ochronić ją przed tym niebezpiecznym terenem. Słońce wdrapywało się coraz wyżej po nieboskłonie, sprawiając, że krople potu, które formowały się na jego brwiach, spływały mu prosto do oczu. Choć piekły niemiłosiernie, nie tracił czasu na wycieranie czoła – nie chciał przerywać pracy. Uderzał młotem tak mocno, że prąd, który czuł w kościach, nie pozwalały mu myśleć o stracie, niebezpieczeństwie i czymkolwiek innym.



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

Spodobał Ci się fragment  
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

[www.WydawnictwoKobiece.pl](http://www.WydawnictwoKobiece.pl)

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



ul. Kolejowa 12E/3  
15-701 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059